ROZMAITOŚCI.

Dnia 11. Maja **№**er **19.** Roku 1844.

Margrabina de Gange.

(Dokończenie.)

W kilka dni po ostatniéj rozmowie Franciszka z bratową, zjechali goście do margrabiego, a że był dzień parny, rozdawano między innémi orzéźwiającémi napojami i świéżą śmietanę. Gospodyni i wszyscy, którzy ją jedli, poczuli wkrótce jakąś zmianę w sobie i wszyscy ucierpieli na ból żołądka. Mówiono, iż lékarz bawiący w témże towarzystwie, dochodził przyczyny tego zdarzenia i znalazł ślady arszeniku, lecz w takiéj małéj ilości, że zmieszany z tłustą śmietaną, nie mógł wywrzéć szkodliwego skutku. Wypadek ten wywołał z-razu wiele domysłów w Awinionie, ale inne późniejsze wypadki zatarły wszelkie domniemania i pomówki.

O tymże czasie umarł dziadek margrabiny, stary pan de Nochères. Margrabina została jego jedyną dziedziczką i właścicielką ogromnego majątku. Mąż margrabiny nie miał żadnego udziału w zarządzie jéj majątku, lecz od czasu tego dziedzictwa, zmieniło się widocznie zachowanie margrabiego z żoną. Przebiegły Franciszek, który nim kierował, wskazał mu potrzebę łagodnego i uprzejmego obchodzenia się z żoną, która teraz takiémi środkami władnęła i od któréj woli rozporządzenie majątku tak za życia jak i w razie śmierci zależało.

Margrabina nie dała się ułudzić tą pozorną zmianą i odgadując powody, które jéj męża do tego skłaniały, miała się ciągle na baczności.

O dziesięć mil od Montpellier a dziewiętnaście od Awinionu, leży w niższym Languedoku miasteczko Gange. Tam stał rodzinny zamek margrabiego; nie było więc nic nadzwyczajnego, że postanowił spędzić jednę jesień w swojém rodzinném gnieździe. Margrabina przyzwyczajona oddawna ulegać woli i rozporządzeniom swojego męża, nie miała żadnego rozsądnego zarzutu naprzeciw temu; témbardziéj gdy cała rodzina i sama matka margrabiego, bardzo dobra i światła dama, przysposabiała się do téj podróży, mającéj tylko pozór chwilowéj rozrywki. Ztémwszystkiem w duszy margrabiny powstawały jakieś złowrogie przeczucia, których wprawdzie nikomu nie objawiała, lecz ich nie mogła ukryć w swoich postępkach. Znała teraz dobrze sposób myślenia swego nieubłaganego niepryjaciela; wiedziała o ile on miał w swojéj mocy margrabiego; nowsza uprzejmość była tylko skutkiem chytrego wyrachowania. Myśl o zatrutém mléku, o pustym, odległym, feudalnym zamku, w którym margrabia był nieograniczonym panem i władzcą, przejmowała ją zgrozą.

Nie śmiała się jednak woli męża sprzeciwiać ani mu czynić zarzutów; ale tak wszystko urządzała tajemnie, jak gdyby już miała nigdy nie wrócić żywa z tego zamku. Ułożyła testament i zapisała nim cały majątek swojéj owdowiałéj matce, pani de Roussau, pod tym wszakże warunkiem, aby ona jedno z dzieci margrabiny — które sama zechce — swoim dziedzicem mianowała. Synek margrabiny miał podówczas sześć, córeczka pięć lat.

Jednakże znając sama zanadto swoję słabość charakteru, złożyła zaraz po napisaniu testamentu, to uroczyste przed radą miasta Awinionu oświadczenie: iż, gdyby się po jéj śmierci znalazł jaki nowszy testament, ona takowy za podrobiony, podsunięty i nieobowiązujący uznaje, i że nie inny tylko ten, który obecnie napisała i złożyła, ma być za jéj prawdziwą, ostatnią wolę uważany.

Oświadczenie to było tak wyraźne i z takiém sumiennem zachowaniem wszelkich prawniczych formalności w obec umyślnie na to wezwanych świadków w sądzie złożone, iż wszelki podstęp stał się na przyszłość niepodobnym. To dodatkowe oświadczenie uczyniła potajemnie, sam zaś testament i jego osnowa były wiadome całéj rodzinie.

Również we wszystkich innych okolicznościach postępowała sobie margrabina zupełnie w taki sposób, jak gdyby jéj wielkie niebezpieczeństwo życia zagrażało, a tego smutnego przeczucia pozbyć się nie mogła. Czyniła znaczne darowizny ubogim, rozdawała pieniędze między duchownych różnych zakonów z poleceniem odprawiania zadusznych mszy po jéj śmierci. Przy pożegnaniu z przyjaciołmi, była nadzwyczajnie wzruszoną, jakby się już po-raz ostatni z nimi widziała.

Przybywszy do Gange, niemała zmiana zaszła w jéj sposobie myślenia. Samejże margrabinie zdawał się jéj smutek być skutkiem nierozsądku. Na zamku Gange wszystko wyglądało pogodnie i wesoło; swoboda i wesołość malowały się na twarzy całego towarzystwa. Rodzina i jéj podwładni ubiegali się uprzyjemnić pięknéj pani piérwsze dni pobytu. Towarzyska ochota ożywiała ponury feudalny zamek, płoszyła tajemniczy pomrok z jego sklepionych zakątów i ponurych kurytarzy. Do jéj rozweselenia przyczyniała się niemało obecność świekry, a obaj bracia unikali jak najstaranniéj wszelkiego spotkania, wszelkiego wzroku, któryby mógł margrabinę obrazić lub w niéj wywołać pamięć dawnych stosunków. Niewinna, prostoduszna kobiéta dała się omamić tym pozornym pokojem, którym jéj wrogi zręcznie otoczyć ją umieli. Uwiodła się oznakami poważania, które może miała za żal i skruchę. Zaczęła wnosić sobie, iż namiętności wzbudzone jéj pięknością, bądź z czasem uleciały, bądź na inne zwróciły się przedmioty. Jakoż nie omyliła się w tym względzie; uczucia miłości ustąpiły innym bezbożniejszym namiętnościom.

Po niejakim czasie zamek Gange utracił na wesołości. Nieznacznie umniejszało się towarzystwo. Matka margrabiego wróciła do Montpellier; samego margrabiego odwołały sprawunki do Awinionu. Margrabina została sama z dwoma braćmi. Zachowanie się obudwu było przyzwoite i wstrzemięźliwe; widywali się z margrabiną w pewnych tylko godzinach, gdy jacy goście z miasta lub z sąsiedztwa przybyli. W dobroci własnego serca zaczęła się margrabina sama oskarzać za niesłuszność i bezzasadną podejrzliwość swoję. Franciszek nie mawiał nigdy ani o niéj ani o sobie; obojętne tylko przedmioty, wspólne domowe i rodzinne sprawy były zwyczajną osnową ich rozmowy.

Jednego razu napomknął Franciszek zręcznie o testamencie margrabiny i dał jéj do zrozumienia, iż to jest powodem całego nieporozumienia; że jéj małżonek i cała jego rodzina jawny dowód jéj niedowierzania i nieprzyjaźni upatrują w tym testamencie; dopóki tenże trwać będzie, nie można się spodziewać pewnéj zgody pomiędzy małżonkami. Poczém zaczął margrabinę zapewniać najwymowniéj, iż margrabia zawsze jeszcze najtkliwsze i najszczérsze przywiązanie do niéj czuje, że mu żal z duszy swojéj podejrzliwości, i że nigdy sobie swoich porywczych postępków nie przebaczy, że teraz od margrabiny zależy uprzedzić swém zaufaniem skruszonego męża i z własnego popędu usunąć tę ostatnią zawadę, a taką małą ofiarą ustalić szczęście całéj rodziny i swoje własne.

Margrabina będąc słabą, chwiejącą się kobiétą, dała się podejść tą namową i przez to samo, niechcący drugich podeszła. Napisała drugi testament, zupełnie na rzecz swojego męża. Nie cofnęła jednak złożonego w Awinionie oświadczenia, przezco samo ten drugi testament nie miał żadnéj ważności.

Franciszek był zaspokojony; bądź że nie wiedział o tajném owém oświadczeniu, bądź że się nie znał na jego skuteczności, miał rzecz całą za zupełnie dokonaną. Mógł się więc teraz uwolnić od wszelkiego przymusu i przystąpić do dzieła zemsty.

Zdarzyło się, iż margrabina zasłabła. Kazała sobie zrana przez miejscowego lekarza zrobić jakieś lekarstwo. Ale gdy już było przyrządzone, wydało się jéj zanadto ciemne i mętne. Uczuła jakiś wstręt od jego zażycia, a przypomniawszy sobie ową śmie-

tane w Awinionie, ani go się tknęła. Natomiast zażyła swoich zwykłych pigułek, które w domowéj miała aptéczce.

Przez cały ranek dowiadowali się bracia kilka razy o stanie zdrowia swojéj bratowéj i zdawali się być bardzo zdziwieni odbiérając w odpowiedź: że się ma dobrze. Powzięli mocne postanowienie, aby jeszcze tego samego dnia umarła.

Przez dzień cały została margrabina w łóżku i zaprosiła kilka dam z miasta, aby ją po południu odwidzili. Była spokojną i wesołą, podczas gdy obaj szwagrowie zdawali się być roztargnieni i w myślach zatopieni. Margrabina żartowała sobie z ich osępiałości i nie powściągała swego wesołego humoru. Ludwik ocknął się piérwszy z swojéj zadumy. Siedząc przy łóżku margrabiny, zaczął odwzajemniać się żarcikami. To pobudziło także dowcip Franciszka. Obsypywał swoją bratowę umilonémi słówkami; ale mimo to wszystko wydało się obecnym, jakby sobie obaj bracia jakiś przymus czynili.

Dano wieczerzę. Margrabina zapraszała do jedzenia i sama wiele jadła. Obaj szwagrowie nie tknęli żadnéj potrawy. Nareszcie zabrało się towarzystwo do odejścia. Franciszek dopełniał obowiązków gospodarza i odprowadził damy z uprzedzającą grzecznością aż do bramy zamkowéj.

Ludwik pozostał przy margrabinie. Całe jego dzisiejsze usposobienie wydało się jéj dziwaczném. Stał nieruchomy w ponurém zadumaniu. Zapytała go o przyczynę, a wtém drzwi się otworzyły i Franciszek wszedł do sypialni. Wnet się rozwiązała zagadka.

Franciszek wchodząc trzymał w jednéj ręce pistolet, w drugiéj ślankę z jakimś mętnym gęstym napojem. W kilku minutach zmieniły się jego rysy do niepoznania. Dzika wściekłość iskrzyła mu z oczu, około ust igrało szatańskie szyderstwo. Zamknąwszy drzwi na klucz, stanął przed swoją ofiarą i wypatrzył się na nią wzrokiem, który był straszniejszy od słów najstraszniejszych.

Podobnież i Ludwik zbudził się teraz ze swéj zadumy. I po jego twarzy rozlała się teraz wściekłość, dochodząca aż do szaleństwa. Dobył szpady. Z początku sądziła nieszczęśliwa margrabina, iż się w nim iskra rycérskiego honoru odezwała i chce jéj w każdym wypadku przysiądz obronę. Ale wkrótce przekonały ją groźne spojrzenia jego o przeraźliwéj prawdzie. Przez kilka minut musiała znosić zgrozę téj nieméj sceny.

Franciszek nareszcie przerwał milczenie. Przystąpił do jéj łóżka i rzekł przytłumionym, grobowym głosem: »Pani, miéj się do Boga, musisz umiérać! Wybiéraj sama: żelazem, ogniem albo trucizną.«

Margrabina wskrzyknąwszy zapytała: »Cóżem uczyniła abym miała na śmierć zasłużyć? Całaż moją winą, żem przeniosła nadewszystko swój własny i swojego męża honor?« Obawa śmierci natchnęła ją wymową. Zaklinała swoich zabójców, przyrzekała niepamięć i przebaczenie. Piękne jéj oczy siliły się przecie odkryć jaki odblask ludzkości w bazyliszkowym wzroku Franciszka, lecz nadaremnie; obróciła się więc do Ludwika i przypominała mu tyle dowodów przyjaźni, z jaką zawsze była dla niego. Całą swoję z codziennych wydatków oszczędzoną kasę oddała była rozrzutnikowi, a przed niedawnym dopiéro czasem otrzymał od niéj weksel na kilkaset liwrów. Ale wszelkie prośby nic nie pomogły. »Dość tych słów pięknych!« krzyknął teraz Ludwik. »Wybiéraj pani pokąd jeszcze czas, albo sami za ciebie wybierzemy.« Nieszczęśliwa ofiara rzuciła wzrokiem ku niebu i wzięła ślankę, którą trzymał Franciszek. Wypiła — podczas gdy Franciszek przytyknął jéj pistolet do piersi, a Ludwik szpadę do serca. Kilka drżącą ręką rozlanych kropel padło na jéj piersi. Wraz na tém miejscu była skóra spalona. To samo widać było na ustach.

Napój zawiérał w sobie arszenik z rozczynem serwaseru zmieszany. Ludwik dostrzegł, że jeszcze nie wypiła tego co osiadło na spodzie ślanki. Wziął spiesznie śrebrną od włosów śpilkę, zgarnął nią wszystko, co jeszcze po bokach ślanki pozostało, zamieszał to razem i podał margrabinie, mówiąc: »Żwawo, żwawo, jeszcze i to, co najlepsze.«

Margrabina wzięła do ust resztę napoju, ale go nie przełknęła, gdyż skrywszy konwulsyjnym ruchem głowę pod kołdrę i wydawszy jęk, jakby już ostatnie tchnienie, wyplunęła tak nieznacznie resztki napoju, że jéj mordercy tego nie spostrzegli. »Przez miłość Boga!« zawołała chérczącym głosem — »nie zabijajcie przynajmniéj mojéj duszy jeźliście już moje ciało zabili! Przyślijcie mi spowiednika!«

Bracia nie mogli bez własnego niebezpieczeństwa zezwolić na to żądanie, udali jednak, jak gdyby chcieli spełnić jéj prożbę, odeszli i zamknęli drzwi za sobą.

Za odejściem szwagrów i zamknięciem drzwi przez nich, wstąpił duch w nieszczęśliwą margrabinę. Zerwała się z łóżka, okryła na prędce jedwabnym płaszczem i otworzyła okno na folwark wychodzące, 24 stóp od ziemi wysokie. Spadając z takiéj wysokości na bruk kamienny, byłaby się nieszczęśliwa niechybnie na śmierć zabiła. Ale w téjże chwili, gdy już skoczyć miała,

wpadli szelestem przestraszeni Franciszek i Ludwik na powrót do pokoju, rzucili się obaj ku oknu, z którego wylękniona margrabina właśnie co wyskoczyła. Ludwik uchwycił spiesznie za połę jéj płaszcza i trzymał całą siłą, ale jedwabna szata nie podołała ciężarowi, kawał płaszcza pozostał mu w ręku, a margrabina padła szczęśliwie, nie głową lecz nogami bez wszelkiego uszkodzenia na ziemię.

Mordercy widząc, że im ich ofiara uszła, nie mając tyle odwagi skoczyć za nią w podwórze, oddali się wściekłéj ostateczności; Franciszek porwał z pobliskiego okna ciężką kamienną na kwiaty donicę i cisnął ją za bratową; lecz bojaźń i wściekłość nie dały mu dobrze wymierzyć.

Margrabina, która dotąd zwykle w niczém sobie rady dać nie umiała, w chwili śmierci odzyskała dziwnym sposobem przytomność umysłu. Podniosłszy się z ziemi, uchwyciła splot swoich włosów i wetknęła je sobie w usta tak głęboko jak tylko mogła. A że na szczęście swoje, jadła była dużo słodyczy przy wieczerzy, przezto nie mogła trucizna tak raźno rozwinąć swoje siłę, a skutek, jaki wetknieniem do ust włosów sprawić pragnęła, nastąpił tém łatwiéj.

Gdy się jéj w ten sposób cokolwiek ulżyło, zaczęła biédna szukać jakiego wyjścia z podwórza. Ale wszystkie bramy były zamknięte. Chciała się wydostać przez stajnię, jednakże i tu znalazła drzwi zamknięte. Szczęśliwym przypadkiem nadeszedł jeden ze stajennych. »Przez Boga — miéj litość — ratuj mię, albo jestem zgubiona!« zawołała. »Ratuj mię! Śmierć mię czeka! — Otwórz stajnię!«

Sługa przestraszony i rozczulony tym widokiem, nie pytając o co chodziło i co się stało, przejęty do żywego błagającym głosem i śmiertelną trwogą swojéj pani, uchwycił ciérpiącą w swoje ramiona, wyniósł ją jak najspieszniéj przez stajnię na ulicę i oddał jako chorą, piérwszym lepszym kobiétom jakie napotkał.

Ale markiza, gnana śmiertelną trwogą, z ich rąk się wyrwawszy, szukając w oddaleniu od zamku miejsca bezpiecznego, pobiegła daléj ulicą. Jéj mordercy nie tracąc czasu, rzucili się za nią w pogoń. Chodziło tu o ich albo jéj życie; trzeba więc było odważyć się na wszystko; a w tém miejscu, jako odległém i do ich rodziny należącém, można było pozwolić sobie nie mało. Krzyczeli więc: »Trzymajcie obłąkaną!« Ktokolwiek zaś widział jak margrabina de Gange, boso, w jednéj koszuli, podartémi tylko kawałkami jedwabnego płaszcza okryta, z rozpuszczonémi w nieładzie włosami i wyciągniętemi rękoma, wołając pomocy, biegła przez ulicę miasteczka, którego panią była; musiałby sobie był sam to pomyśléć, chociażby jéj najbliżsi krewni, wszystkich obecnych nie zapewniali o tém.

Już ją chciało pospólstwo jako osobę obłąkaną pojmać z litości, gdy ją Ludwik o trzysta kroków od zamku, pod domem niejakiego pana de Prets dognawszy, zaciągnął przemocą na podwórze, i zasunął fórtkę za sobą. Franciszek z pistoletem w ręku stanął zewnątrz na progu, grożąc śmiercią każdemu, ktoby chciał wejść w podwórze. Jego bratowa — mówił — nie powinna w swém obłąkaniu być pośmiewiskiem ulicznéj gawiedzi.

W domu pana de Prets, który nie był obecny, znajdowało się towarzystwo kobiét. Margrabina ścigana od Ludwika wpadła między przerażonych gości wołając z rozpaczą o pomoc, i przysięgając że jest otrutą. Ludwik powtórzył chytrze przed damami co już oświadczył ludziom na ulicy. Z początku pozyskał Ludwik więcéj wiary niżli jego bratowa. Lecz ciekawość i wrodzone kobiétom współczucie ujęły się wnet za nieszczęśliwą i nie dały się złudzić błahemi słowy. Jedna z obecnych wsunęła skrycie margrabinie małą flaszeczkę z dryjakwią, którę podług zdania owego czasu za powszechne lékarstwo miano. Margrabina zażyła spiesznie kilka kropel, lecz piekący żar trucizny zaczął ją jeszcze bardziéj dręczyć: zażądała wody. Zaledwie do ust przytknęła śklankę, już ją Ludwik wyrwał jéj z ręki i stłukł o podłogę.

Zdaje się do niewwierzenia, iż złoczyńca mógł raz jeszcze nietylko obecne panie, lecz i swoję ofiarę słodkiemi słowy ułudzić. Zaczął je prosić i na wszystko zaklinać, aby swoją litością nie utwierdzały bratowéj w jéj urojeniach i przez to samo nie powiększały jéj obłąkania, przyrzekając, iż gdy się na chwilę oddalą, on, swoją wymową uspokoi biédną ciérpiącą. Sama margrabina będąc osłabiona i w istocie wszystkiém co już zaszło, ledwie nie obłąkana, chwytając się każdego cienia nadziei, i myśląc iż ten zbrodniarz da się jeszcze wzruszyć miłosierdziem, prosiła obecnych aby do pobliskiego pokoju odeszli. Co gdy się stało, rzuciła się do nóg Ludwikowi i zaklinała go aby miał litość nad nieszczęśliwą, przyrzekając powodować się odtąd we wszystkiém jego wolą, zapomnieć całą przeszłość i ukryć ją w wiecznéj tajemnicy; lecz ten zaciekły złoczyńca nie chciał już cofnąć się w pół drogi zbrodni swojéj i dobywszy szpady zadał śmiertelny cios margrabinie. Gdy na krzyk nieszczęśliwéj ofiary towarzystwo znowu do pokoju wpadło, już margrabina leżała zbroczona we krwi na ziemi a zbrodzień umknął korzystając z trwogi i zamieszania.

Wezwano spieszno lekarza i zwierzchność miejscową. Rozstawiono pod domem straże i wysłano pogoń za zbiegłymi mordercami, lecz ci dosiadłszy koni, mając zasłonę w nadchodzącéj nocy, dobiegli portu i wsiadłszy na okręt, do Włoch odpłynęli.

Z niewysłowioną cierpliwością znosiła margrabina nieustające boleści, i dopiéro po dniach dziewiętnastu zakończyła życie, i to, jak lekarze zapewniali, nie z zadanéj rany, lecz w skutek trucizny. Zdawało się, jak gdyby sama natura chciała ochraniać swoje arcydzieło i w ostatnich jeszcze chwilach najpiękniejszémi ozdobić wdziękami; bo nigdy nie wyglądała margrabina piękniéj, nigdy nie była jéj płeć świetniejszą, nigdy nie błyszczało jéj oko płomieniściéj, nigdy nie brzmiał jéj głos milszym dźwiękiem — jak na jéj łożu śmiertelném.

Mąż jéj był podówczas w Awinionie, gdy mu tę straszną doniesiono wiadomość. Przyjął ją na pozór z wszelkiemi oznakami przerażenia, zapalał się zemstą przeciw okrutnym, wyrodnym braciom, jednakże, zamiast co miał spiesznie wyjechać dla pocieszenia swéj umiérającéj żony, spędził jeszcze dni kilka w mieście na odwidzaniu swych znajomych i przyjacioł. Przybywszy nareszcie do swego zamku, zamiast coby się był miał wzruszyć cierpieniem żony, ozwał się wkrótce z prośbą, aby tych krótkich chwil, jakie jéj jeszcze pozostały, użyła na odwołanie złożonego w Awinionie oświadczenia i uznała jéj drugi testament na rzecz swojego męża, jako jedynie ważny.

Ale tym razem pomimo wrodzoną powolność swoję ulegania mężowi, dotrwała margrabina przy swojém powziętém zdaniu. Podług wszelkiego podobieństwa wnoszono, iż margrabina dopiéro teraz poznała się na prawdziwych stosunkach, jakie między jéj mężem a jéj mordercami zachodziły. Ale bądź z bojaźni przed swoim mężem, bądź ze względu na swoje dzieci, bądź wreszcie aby sobie przed swoją blizką śmiercią spokój duszy zachowała, nie wyjawiła téj myśli. Cierpienia swoje znosiła ze szczérą chrześijańską pokorą; pocieszała sama swojego męża, na którym wielkie podejrzenie powiadomości téj zbrodni ciężyło, i zamiast mu czynienia wyrzutów, przyjmowała go wyrazami czułości i przywiązania.

Inaczéj postąpiła sobie jéj matka, pani de Roussau. Przybywszy do Gange dla pielęgnowania swojéj córki, któréj lekarze w żaden sposób do Montpellier przewieźć nie dozwolili, spoglądała z odrazą na margrabiego przy łożu żony, i zaraz po śmierci jéj opuściła zamek, to miejsce zgrozy i zbrodni, aby zanieść skargę na morderców.

Parlament Tuluzki rozpoczął natychmiast śledztwo przeciw margrabiemu; jednakże dla braku dowodów, tylko na utratę wszystkich godności i wywołanie z kraju skazanym został. Margrabia założył protestacyję przeciw temu wyrokowi, ale gdy się dowiedział, że Ludwik XIV., słuchając głosu publicznéj opinii, chce ten wyrok za nieważny uznać i nowe śledztwo nakazać, ocalił się ucieczką.

Tymże samym wyrokiem parlamentu skazano obu braci Franciszka i Ludwika na ćwiertowanie żywcem. Ale ramię ludzkiéj sprawiedliwości nie dosięgło zbrodniarzy i pozostawiło ich karę najwyższemu sędziemu! Jak późniéj słychać było, Ludwik zginął na wyspie Kandyja w służbie rzeczypospolitéj weneckiéj; Franciszek zaś miał po wielu przygodach umrzéć w ostatniéj nędzy w Amsterdamie.

GWIAZDY.

Trzeci kur zapiał, czasby do domu,
Idźmy już kumie; nie będzie komu
Dać jutro z rana koniowi siana,
Rola nie będzie wcześnie z-orana.
I wyszli z karczmy. Miesiąc na nowiu,
Więc smutno, pusto, jeno świerszcz gada,
Jeno na nieba szarém sitowiu
Gwiazd się złoconych kołysza stada.
— Powiedźcie kumie, gwiazdy co świecą,
Mocnoż przypięte? Czy w świat nie zlecą,
By ludziom w nocy-mogły się przydać?
Pan Bóg ich tyla razem nawieszał,
Że aż strach patrzéć; więcéj ich widać
Niżli na drzewach liści nawieszał;
I tylko jedna, prześliczna jedna,
Bóg wié gdzie znikła, przepadła biédna! *)
Kej byłem mały, nad naszą stroną
Częstom ja widział; starzy ją zwali
Gwiazdą jutrzenką, aleć ją pono
Czarci jak swoję w piekło porwali,
Czy gdzieś tam w kraje spadła podziemnę,
Bo zawdy niebo w tém miejscu ciemne!
Czy zła na ludzi, że się tak kryje?
Czy téż zagasła? Może nie żyje?
— At, gadasz bracie, ona tam żywa,
Tylko nie świeci bo odpoczywa.
Niechno się prześpi, to znowu wstanie!
— Kej tak, kumie, daj jéj zdrowie panie! —
I znowu cicho. Miesiąc na nowiu,
Więc pusto, głucho, jeno świerszcz gada,
Jeno na szarém nieba sitowiu
Gwiazd się złoconych kołyszą stada.

(*Bibl. Warsz.*) *M. Morzkowski.*

*) Mowa o spadających meteorach.

Pieśń. *(Das Lied.)*

(Z Szyllera.)

Jakto słodko, jak przyjemnie
Z lubym pieścić się chłopczyną,
Roskosz raju czuję we mnie,
Kiedy usta z usty spłyną!

Już wiém teraz co turkawki
Z sobą cicho gruchotały,
I słowiki śród zabawki
Co pieściwie tak śpiéwały!

I dla czego kwiatów wonie
Ani ptaszat lube pienia
W chłodnym maju, w boskim tonie,
Nie sprawiły pocieszenia?

Świat mi jawił się ponuro,
Nie poznałem mych skłonności,
Teraz zazdrość mi naturo,
Ach, bo żyję już w miłości!

Kazimiérz Bieńkowski.

HOENE WROŃSKI.

Wroński urodził się w Poznaniu, gdzie jego ojciec Hoene był budowniczym. Uzdolniony młodzieniec osiągnął już w 16. roku życia stopień porucznika w artyleryi polskiéj i odznaczył się przy obleżeniu Warszawy, równie jak i w nieszczęśliwéj bitwie pod Maciejowicami, gdzie wraz z Kościuszką dostał się do niewoli. Dopiéro kilka lat późniéj powiodło mu się opuścić Rosyję i udać się do Niemiec. Tu zajęło go zupełnie niemieckie piśmiennictwo, a mianowicie fizyka, matematyka i filozofija, którym cały swój czas poświęcił. Złożywszy swoje umiejętne odkrycia w kilku pismach i mogąc już mieć pomyślne nadzieje o przyszłości, pojechał do Paryża, aby tam swe manuskrypta do druku podał. Piérwsze ogłoszone przez niego dzieła były matematycznéj treści. Wystąpił w nich przeciw ówczesnym koryfejom matematyki we Francyi, panom Lagrange i Legendre, którzyby byli niezawodnie przygniotli swoim wpływem nieznajomego cudzoziemca, gdyby mu instytut francuzki nie był dał dostatecznéj zachęty do dalszego działania. Późniejszy stosunek naszego pisarza z bogatym przyjacielem panem Arson, przyczynił się wielce do jego wielostronnéj czynności, uwalniając go od wszelkich trosek o utrzymanie życia. Był zaś ten przyjacielski stosunek tak szczéry, iż Wroński nigdy zrzec go się niechciał, chociaż książę Adam Czartoryski wzywał go do siebie do Polski, ofiarując mu znaczną pensyję i przyrzekając wszystkie jego matematyczne i filozoficzne pisma na swoje koszta wydawać. Wroński przeżył już czterdzieści lat za granicą i dał się poznać narodowi, pośród którego bawi jako mąż rzadkiéj twórczości i oryginalności. Dążeniem jego jest pojednać filozofiję z matematyką i ustalić obie jako bezwzględną umiejętność. Filozofija Wrońskiego ma przeważający kierunek praktyczny i skłania się przeto do polityki. Z niemiecką filozofija zdaje się Wroński być bardzo obeznanym, jako téż nie wypiéra się nigdzie swego głębokiego uszanowania dla niemieckiéj umiejętności. Ten uzdolniony mąż byłby może stał już daleko wyżéj w opinii za granicą, gdyby jego publicznemu występowaniu nie było można zarzucić pewnéj szarlataneryi. Przybiéra prawie postać proroka i zarywa często na mędrca który więcéj nauczycielskiéj pychy niż filozoficznéj skromności posiada. Zresztą nié ma owa tajemniczość, która otacza jego osobę, najmniejszego udziału w jego nauce. Nie mamy do czynienia z jakim Towiańskim, lecz z autorem, którego myśli i sposób pisania odznaczają się jasnym wykładem rzeczy i głębokością. Wroński chłoszcze surowo intellektualny i polityczny stan Francyi, potępia francuzką oświatę i prawie ją całkiem zaprzecza. Francyja — mówi on — jest siedliskiem wszelkiego złego; zamiast filozofii posiada ona encyklopedyczną logomachiję, któréj wynikłością — obrzydła polityka francuzka, komunizm i socyjalizm. Z niemałém zarozumieniem o sobie rozpoczyna on, cudzoziemiec, list do króla Filipa, którym mu jedno ze swoich dzieł przesyła, następującemi słowy: *»C'est pour la deuxième et peut être pour la dernière fois que je ressens le devoir de porter la lumière au milieu des ténèbres philosophiques de France, où s'enfantent ces hideuses monstruosités morales de perpétuelles révolutions politiques etc.«* Najprzód ściągnął Wroński powszechną uwagę Francyi na siebie wydawaném w roku 1818 pismem czasowém: *Le Sphinx,* które w swojéj filozoficzno-religijno-politycznéj dążności, miało walczyć z ówczesną bezbożnością. To niestety za prędko przerwane pismo zyskało wielkie wpływy, a głoszone tam niebezpieczeństwo cywilizowanego świata *(peril du monde civilisé)* znalazło tak dalece wiarę w sercach wielkich mężów, iż sam cesarz Alexander i Chateaubriand zgodzili się z pomysłami naszego filozofa i wielką powagę im zjednali.

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* pod redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł Nr. 19. i obejmuje: 1) O przeistoczeniu gruntów ornych na łąki i pastwiska stałe, i o uprawieniu łąk samorodnych.

2) Czy w Galicyi najemnik jest drogi, lub tani? przez K. J. Turowskiego. 3) O piérwiastku fermentu w gorzelniach, i o użyteczności dodawania chemicznych ingredyencyj do bołowicy czyli podmłodu; przez Hipolita Nędzowskiego. 4) Obrona koni od much i bąków.

Dziennika mód paryskich, pod redakcyją Tomasza Kulczyckiego, wyszedł Nr. 10. i zawiéra prócz mód, następujące artykuły: 1) Odwidziny w domu szalonych. 2) Do gwiazdki, wiérsz przez Maryję M—ą. 3) O rzeczywistościach rozumu i serca ludzkiego, napisał Au. Wi. 4) Wspomnienia. (Dokończenie.) 5) Odpowiedź na artykuł: Korespondencyja, umieszczony w numerze ósmym Dziennika. 6) Uwiadomienie.

(Nadesłane.) W r. 1843 wyszło we Lwowie w księgarni Milikowskiego, staraniem zakładu naukowego imienia Ossolińskich, dzieło nazwane skromnie: *Krótki rys dziejów i spraw Lisowczyków, skréślił Maurycy hr. Dzieduszycki.* Powszechny i chlubny dla autora głos znawców i miłośników dziejów polskich, sprawiedliwość, którę oddają właściwemu stylowi i pracowitości tego pisarza, obznajomienie niepospolite z literaturą, czerpane i przytoczone ztąd dowody dla dzieła, mieszcząc je w rzędzie wzorowych dzieł polskich, skłoniły nas, równie jak i wychodzące w Lipsku Roczniki literatury słowiańskiéj dokt. Jordana (w 5. zeszycie), do powiedzenia tu o pomienionem piśmie hr. Dzieduszyckiego, jako o pracy na zaszczytne wspomnienie zasługującéj. Co się ściąga oraz i do zakładu naukowego imienia Ossolińskich, który pod dyrekcyją p. Adama Kłodzińskiego, doktora filozofii i członka towarzystwa naukowego w Krakowie, odpowiada jak zawsze swojemu zamiarowi i celom jegoż założyciela — nie mniéj do pana Franciszka Strońskiego doktora filozofii i przełożonego biblioteki uniwersytetu lwowskiego, jak i do pana Szlachtowskiego, kustosza zakładu naukowego imienia Ossolińskich, którzy wszyscy z gorliwością przyczynili się pomocném udzielaniem historycznych źródeł i książek do wypracowania rzeczonego tu dzieła.

u. w.

Podróżujący autor Kohl. Jeźli pan J. G. Kohl będzie jeszcze lat dziesięć z taką nadzwyczajną podróżował szybkością i swoje podróże opisywał, jak to już od roku 1840 czyni, natenczas nie będzie prawie żadnego kraju, któregoby on nie zwidził i opisem jego się nie zajął. Dziś już jego skoropisarstwo przechodzi wszelkie granice. W przeciągu pięciu lat wydał on w Dreźnie i Lipsku: *Zarysy Petersburga, południowéj Rosyi, Polski i Austryi;* osobno zaś Czech i Węgier, i rosyjskich prowincyj nadbałtyckich; przytem odpowiedź na zarzut dorpackiego profesora Kruse; tudzież zarysy Anglii, szczególnie wielkich angielskich miast fabrycznych, i Walii; w końcu opis Irlandyi, który został przetłumaczony na angielskie. Prócz tego napisał jeszcze ściśle umiejętne dzieło o geografii i wiele artykułów do różnych pism czasowych. W ostatnich dniach wystąpił znowu ze swojémi: *Podróżami w Szkocyi,* w 2 tomach.

Dziesięć tysięcy franków do zarobienia! Niejaki p. Barmont w Lugdunie ogłasza z najpoważniejszą miną w świecie, iż zrobił dwa nader ważne odkrycia i wzywa wszystkich uczonych aby jego twierdzenie zbijali. Utrzymuje on najprzód: iż zdoła dowieść, że nie ziemia wokoło słońca lecz słońce około ziemi się obraca, a nasza ziemia jeden tylko ma ruch wznoszenia się i opadania w przestrzeni świata. Powtóre zapewnia, iż znalazł w powietrzu stanowisko, podług którego wszelkie rodzaje napowietrznych okrętów kierowane być mogą. P. Barmont złożył sumę dziesięciu tysięcy franków u swojego bankiera w Lugdunie i doręczył pokwitowanie redaktorowi dziennika *Courrier de Lyon.* Suma ta ma być wypłacona temu, kto udowodni omyłkę lub fałsz tych odkryć. Nie braknie zapewne na takich, którzy go *chciwie* zbijać zechcą.

Najlepszym dla zegarmistrzów krajem są Chiny. Pewien handlowy dom, w jednem tylko mieście Londynie, wysyła do Chin co roku zegarków za więcéj niż 6 milijonów złot. polskich. Sprowadza je z Genewy i każe w Londynie podług chińskich rysunków dorabiać pokrowczyki z małemi tarczami, na których Chińczyki każą wyrzynać nazwiska swoje. Najpokupniejszym towarem są zegarki kieszonkowe, gdyż każdy cokolwiek zamożniejszy Chińczyk, przynajmniéj dwa zegarki zawsze przy sobie mieć musi.

Piękna zabawka! Francuzkie dzienniki donoszą o szkaradnym zwyczaju, jaki ma teraz panować osobliwie między bawiącymi w Paryżu cudzoziemcami. Pewien Francuz zamierzył korzystać z niepojętéj ciekawości, która ludzi pędzi przypatrywać się traceniu winowajców, i urządził w swoim domu przy *Quai Valmy,* szafot z gilotyną, która ludziom ze słomy, ubranym zupełnie jak winowajcy przed śmiercią, głowy ścina. Każdego dnia daje on kilka takich przedstawień a sala w których się te widowiska odbywają, jest zawsze nadzwyczajnie ciekawymi przepełniona, chociaż za wstęp — luidora się płaci. Na te przedstawienia najwięcéj uczęszczają młode eleganckie damy, mianowicie Angielki i Rosyjanki, które się całemu urządzeniu najciekawiéj przypatrują, a nawet ostrze topora obmacywują!

Barbaja dyrektor teatru. Jednym z najlepszych dyrektorów opery włoskiéj był Barbaja. Chociaż w swojéj młodości w medyjolańskiéj kawiarni za chłopca służył, przecież późniéj naraz trzema wielkiemi teatrami zarządzał, to jest: *San Carlo* w Neapolu, *della Scala* w Medyjolanie i operą w Wiédniu. W żadnym języku nie dadzą się wytłumaczyć owe wyrazy, jakiemi swoich śpiéwaków szkalował, skoro się im w czemś nie powiodło; nie brali mu jednakże tego za złe, bo wiedzieli, iż on piérwszy będzie, który ich uściska i pochwali, gdy sobie na to zasłużą, i że ich w słabości sam jak ojciec pielęgnować będzie. Barbaja nie odebrał żadnego wychowania, nawet pisać nie umiał, ani jednéj muzycznéj nuty nie znał, a przecież nieraz najstosowniejsze rady dawał swoim kompozytorom i nie jeden im plan do textu opery podyktował. Miał on głos najchrypliwszy, najnieznośniejszy, a przecież wykształcił wielu piérwszych śpiewaków włoskich. Mówił tylko gminném medyjolańskiem narzeczem a miał do czynienia z królami i cesarzami. Najzabawniejsza było słyszeć go i widzieć przy piérwszém przedstawieniu jakiéj nowéj opery, siedzącego w swéj loży naprzeciw loży królewskiéj. Skoro tylko który śpiéwak w czém chybił, natychmiast na całe gardło wrzasnął Barbaja: »*Can di Dio!*« (Ty psie boży!« Jeźli zaś publiczność kiedy niesłusznie nieukontentowanie swe okazała, natenczas zerwał się nasz dyrektor, wychylił z loży i wrzasnął ku parterowi: »*Figli d'una vaccha!*« (Cielęta!) Będzieciež cicho?! Nie jesteście warci dobrych spiéwaków!« Gdy raz król klasnął nie w porę, ściągnął Barbaja ramionami i wyszedł mrucząc z loży. Onto był, który wykształcił spiewaków jak *Lablache, Tamburini, Rubini,* i spiéwaczki jak *Colibran, Pasta, Feodor,* i zapoznał Europę z *Donizettim, Bellinim,* i wielkim nawet *Rossinim.*

O Australii, jéj klimacie i płodach podaje *La Revue de l'Orient* następujące osobliwsze szczegóły:

»Australija ma się nie tylko co do swego geograficznego położenia, lecz z wielu innych względów zupełnie odwrotnie do Europy. Przyroda australska zawiéra mnóstwo dziwacznych zjawisk które się w oczach Europejczyka bajką wydają. Podczas gdy u nas zima, tam lato. Północny wiatr jest tam ciepły, południowy zimny, wschodni najzdrowszy, zachodni najszkodliwszy. Barometer przed déśzczem idzie tam w górę; jego spadanie zapowiada pogodę. Doliny są tam zimne i nieurodzajne, góry bywają zazwyczaj ciepłe i żyzne. Łabędzie są tam czarne, a orły białe. Jest tam rodzaj kretów, które mają dziób jak u kaczek a jadowity kolec u zadniej nogi. Inny rodzaj jest uzbrojony z tyłu kilką rzędami kolców, podobnych owym, jakie w Europie mają jeżowce. Australija jest także ojczyzną *kanguru*, zwierzęcia, któreby równem prawem do rodzaju wywiórek i do jeleni policzyć można, a którego wielkość bywa najrozmaitsza. Podczas gdy niektóre *kanguru* są małoco większe od szczura, dorastają inne pięciu stóp wysokości. Psy w nowéj Hollandyi nie szczekają nigdy i mają wilcze głowy. Reszta tułowu podobna jest do lisa. Jest tam jeszcze gatunek ryb, które przez połowę należą do rodzaju hajów, potworów morskich, przez połowę zaś do gatunku ininnych ryb, które jeść można. Sztokfisz łowi się tam w rzékach, a liny w morzu. Niektóre rodzaje węzów są skrzydlate; podobnież mają pewne rodzaje ryb duże, pstro nakrapiane skrzydła, które mogą ściągać albo rozszérzać, jak nietoperze. Pokrzywa rośnie tam do wysokości drzewa; topola przeciwnie jest tam niską krzewiną. Paproć dochodzi 20 do 25 stóp wysokości, a jéj gałęzie mające 5 do 6 stóp długości, rozprzestrzeniają się w kształcie szérokiego słoncochronu. Jedyny ptak, który jest najpodobniejszy do domowego europejskiego drobiu, ma ogon jak struś w formie wachlarza. *Casuar*, małoco mniejszy od strusia, niéma właściwie piór, lecz tylko gatunek grubego włosu. Są tam ptaki które wydają głos, podobny zupełnie do trzaskania z batoga; inne znowu, które swoim głosem dźwięk srebrnego dzwónka nasladują. Tu możesz słyszéć ptaka kwilącego jak dziecię, owdzie śmieje się inny w głos, jak człowiek. Większa część drzew utraca co roku korę, a liść nie opada. Przez cały rok nie widać prawie chmurki na niebie, a chaty najuboższych mieszkańców są budowane z cedrowego drzewa, jak pałac Salomona. Sławny naturalista Blumenbach, który Australiję przedmiotem swoich badań uczynił i w swoim obfitym zbiorze naturaliów wiele tamtejszych osobliwości posiadał, twierdził z początku: iż ta dziwaczna część świata późniéj zapewne stworzoną była od innych krajów kuli ziemskiéj.

L o n g c h a m p s. Niegdyś był Longchamps sławną górą kalwaryjską, na którą cały świat paryzki przez wielki tydzień pielgrzymował. Pierwsza rewolucyja, równając wszelkie wyniosłości, uprzątnęła też i tę górę, lecz pielgrzymka do Longchamps pozostała. Tego roku była ona tém samem, co i każdego roku, to jest: nieprzejrzanie długim rzędem powozów, pomiędzy któremi odznaczała się niekiedy czwórka jakiego obcego dyplomaty, mała liczba pięknych ekwipażów, a reszta były fijakry, kabryjolety, milordowie z episierami, studenci, fryziery, kupczyki, gryzetki i praczki, a w posrodku z tuzin przyzwoitych jeźdzców na angielskich rumakach i z dziesięć tuzinów najzabawniejszych świątecznych kawalerów na wychudłych najemnych koniach. Cała ta ceremonija odbywa się z prawdziwie marnotrawnym przepychem niezliczonych municypalnych gwardystów konnych i pieszych, sierżantów miejskich, policyjnych komisarzów i rozmaitych ajentów. Co się tyczy toalety, można być pewnym, iż, ile razy pogoda i ciepło na dworze, wszystkie damy będą miały futra na sobie, a jeźli na dworze tęgie zimno i wiatr, wszyscy kawalerowie wystąpią w letnich białych pantalonach. W alejach po prawej i lewéj ręce, cisną się nieprzejrzane tłumy próżniaków; stołki przy drodze wynajmują się po cenie 1 franka; przeszło 2000 kieszeń zostaje przez spekulujących rzezimieszków wypróżnionych; pięciu lub sześciu takich spekulantów pada ofiarą swojego przedsiębierstwa i bywa schwytanych przez policyję; do tego kręcą się karusele, brzmią trąby, wrzeszczą kuglarze — a to wszystko razem: jest sławną pielgrzymką do Longchamps w wielki tydzień.

R z a d k i e p o ś w i ę c e n i e s i ę. Podczas ostatnich strasznych nawalności morskich znajdowały się w zatoce biskajskiej dwa angielskie okręty kupieckie. Kapitan jednego, Johnson, pojechał na śniadanie do kapitana drugiego okrętu, Karola Middleton, i wziął swoję żonę ze sobą. W czasie śniadania zerwała się tak sroga burza, iż okręt kapitana Johnsona był już zgruchony, nim się jeszcze jego dowódzca mógł dokładnie wywiedzieć o niebezpieczeństwie; a gdy nareszcie o wszystkiém się przekonał, niepodobna już było wrócić na szczątki rozbitego okrętu, ktorego załoga schroniła się była własnie do poodpinanych łodzi. Wystawmyż sobie rozpacz ojca i matki, którzy dwoje dzieci, siedmioletniego chłopca i pięciuletnią dziewczynę, na pokładzie okrętu zostawili, a teraz tych drogich istot pomiędzy schronionymi na łodziach nie widzą. Aż nagle okazuje się na wiérzchu okrętowéj drabiny ich sługa, wierny murzyn, trzymający oboje dzieci, starannie owinięte, na ręku; lecz oto woła nań sternik łodzi tak głośno, iż sami rodzice dosłyszéć mogli: »Łódź już zanadto obciążona; musisz albo sam zostać albo dzieci zostawić!« — »Oddajcie więc te dzieci ojcu i matce, i powiedźcie im, aby sobie czasem na mnie wspomnieli!« krzyknął murzyn bez namysłu, spuścił lekko dzieci do łodzi, a sam rzucił się w morze. Murzyn się utopił, dzieci zaś spoczęły nieobawem w objęciach uszczęśliwionych, lecz bardzo zasmuconych rodziców. William Colton zwał się ten szlachetny murzyn.

P a m i ą t k i s ł a w n y c h l u d z i. Z końcem miesiąca kwietnia sprzedawano w Londynie przez licytacyję niektóre sprzęty Napoleona ze spuscizny jego niedawno właśnie zmarłego dozorcy więziennego, sira Hudson Lowe. — Podobnież wystawiono tamże na przedaż owe przepyszne obicia, które papież Leon X. przesłał niegdyś w darze królowi Henrykowi VIII. Sąto wierne, po mistrzowsku wykonane kopije nieśmiertelnych szkiców Rafaela; były one sporządzone w Bruxelli pod przewodnictwem jego samego i jego uczniów, i są oprócz duplikatów w Watykanie, jedynémi na świecie egzemplarzami. Kromwell sprzedał je do Hiszpanii, i sprzedażą też dostały się one na powrót do Anglii.

D o b r z e s o b i e p o r a d z i ł. Voltaire był jak wiadomo, wielkim nieprzyjacielem Frerona, i chciał się tém na nim zemścić, iż go kazał odmalować w postaci osła ryczącego przed lirą. Rycina ta miała być dołączoną przy drugiem wydaniu komedyi Voltaira: *L'Ecossaise.* Freron jednak, dowiedziawszy się o tém, ogłosił w pismach publicznych: iż d o d r u g i e g o w y d a n i a k o m e d y i »l'Ecossaise« d o d a n y b ę d z i e p o r t r e t a u t o r a. Chcąc niechcąc musiał Voltaire zaniechać swego zamiaru.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Frańciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.